http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ATENEUM.

WARSZAWA. TOM I. ZESZYT I. STYCZEŃ 1903.

http://rcin.org.pl

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Ноября 1902 г.

FUNDACJI im. J. J. MICHALSKICH
Ze zbiorów
8086
INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

http://rcin.org.pl

NOWELLE MARYI KONOPNICKIEJ.

Jako nowellistka wystąpiła Konopnicka w tej dobie (około r. 1885), kiedy najpiękniejsze utwory w tej formie skreślone przez Sienkiewicza, Orzeszkową, Prusa, Sewera, Junoszę już naszą literaturę wzbogaciły. Co więcej, wystąpiła wówczas, kiedy nowella po kilkoletniem, prawie wszechwładnem królowaniu w piśmiennictwie, zaczęła ustępować miejsca dużym (niekiedy nawet za dużym ze względu na artyzm) powieściom.

Przypomnienie tych dwu faktów wydało mi się koniecznem dla każdego, kto chce sprawiedliwie ocenić znaczenie twórczości Konopnickiej w dziedzinie nowellistyki i kto zamierza, nie w entuzyastycznych ogólnikach, mogących się odnosić do całego szeregu utalentowanych duchów, lecz jasno, wyraźnie i dobitnie oznaczyć, co Konopnicka wniosła nowego, oryginalnego, własnego do tej dziedziny.

I.

Umysł autorki „Pana Balcera w Brazylii" odznacza się niezmierną wrażliwością, niesłychanie łatwo i nadzwyczaj szybko wchłania wpływy zewnętrzne, idące czy to wprost z życia praktycznego, czy też z czytania obcych utworów. Nie jest to bynajmniej prosta zdolność naśladownicza, lecz raczej wielka gibkość duchowa, jaka znamionowała mistrza Konopnickiej i wielu innych młodych poetów, Juliusza Słowackiego; nie wyklucza ona wcale istotnej twórczości, tylko wpływa potężnie na sposób jej wyrażenia.

http://rcin.org.pl

Zgodnie z tą właściwością duszy, ponieważ Konopnicka zaczęła pisać nowelle już po wielu innych niepospolitych jej przedstawicielach, musiały się tedy w jej początkowej twórczości odbić cechy znamionujące twórczość poprzedników. A że te cechy odznaczały się różnorodnością, więc też różnorodność, niejednolitość nastroju i sposobu opracowania tematu znamiennie się zaznaczyły w pierwszych próbach nowellistycznych poetki. Znajdowały się więc w nich i staroświeckie zwroty do czytelnika, mające go naprowadzić na drogę należytego rozumienia opowieści; spotykały się i liryczne wylewy duszy, nie brakło mglistych idealnością zaprawnych obrazów; ale też istniały całkiem przedmiotowo, niby sprawozdawczo, z pozornem wykluczeniem wszelkich subjektywnych uniesień, z drobiazgowym realizmem wykonane zarysy. Możnaby powiedzieć, że w pierwszym zbiorze p. t. „Cztery nowelle“ odnaleźć łatwo jakby w miniaturze te różne kierunki artystyczne, jakie w dobie powstawania tych opowiadań albo już się do pewnego stopnia przeżyły, albo też rozwijały się w całej pełni.

Czy nie było w nich nic świeżego?

Rzecz naturalna, że jako poetka musiała Konopnicka nadawać swym pomysłom, choćby pierwotnie z obserwacyi wziętym, znamiona poetyczności, szczególniej w malowaniu krajobrazów. Weźmy np. opis Warty podczas „najścia wód wiosennych,“ jako najkrótszy i najwyraźniej przedstawiający nam sposób, w jaki wyobraźnia przerabia zaobserwowane szczegóły: „W pianach cała i bryzgach, jak *ptak biały*, zrywa się skrzydlata i pod mostem, wyniesionym wysoko, szumi i huczy tak *niekarnie*. jakby jarzma tego z drzewa a żelaza na *hardym* swym grzbiecie znosić nie mogła. Wody jej, zebrane z szerokich łężnych rozlewów, jak *hufiec rozbity*, wpadają w koryto, wspinając się jedne na drugie, i tak spiętrzone prą się nawałem na pole; trzeszczące pod ich naciskiem, byle prędzej *od przymusu* uciec i ponieść się w kaskadach na szersze spadki i podmiały, i *mdleć* u brzegu, niosąc resztę piany i błysków gniewnych w coraz słabiej pulsujących falach.“ Nieprawdaż, że opis ten uosabiający rzekę, przeprowadzony w wykwintnych porównaniach, gdyby ujęty był w rymy, nie potrzebowałby się wstydzić swych wierszowanych braci; w nowelli trąci już trochę archeologią prozy poetycznej, która miała niegdyś swą świetną dobę, kiedy nią pisali tacy, jak Zygmunt Krasiński, a dziś ma znów swoich wskrzesicieli, co ją bardzo mocnemi eliksyrami słowa przy życiu utrzymać pragną.

Atoli obok tych poetycznych stają tuż obok zupełnie prozaiczne całą nędzą i brudem życia ludzkiego zapełnione opisy, jakich nam rea-

http://rcin.org.pl

liści i naturaliści nie żałowali: „Szła tedy Hanka z Michałakową, która tym razem zabrała ze sobą najmłodsze dziecko, z pięć lat już może mającego chłopca, z wielką głową, odętym brzuchem i zgiętemi w pałąk, bezwładnemi nogami. Ten brzuch, te nogi i długie wątłe ręce, któremi dziecko obejmowało szyję niosącej je matki, czyniły je podobnemi do wielkiego pająka, a blade szkliste, na wierzchu głowy osadzone oczy, i szary łachman, który je okrywał, jeszcze to podobieństwo zwiększały. Dziecko nie mówiło, nie płakało nawet, ale zwiesiwszy swą ogromną głowę na ramię matki, odzywało się niekiedy przykrym, jakby ptasim piskiem.“

Podobnież rzecz się miała z charakteryzowaniem ludzi. Niekiedy tworzy i przedstawia całkiem „romantyczne,“ w wybujałej wyobraźni stworzone, nieprawdopodobne postaci, starając się je otoczyć jakąś aureolą poetyczną, nie z ich ducha wytryskującą, lecz zzewnątrz włożoną, po wystrużeniu jej ze złoconego papieru (Kasia Duniakówna i Uryel, oraz ich syn Michał). Innym znowu razem nie waha się kreślić całego szeregu sylwetek, z gnojnika życiowego wydobytych, i wkładać im w usta aż zanadto prawdziwe słowa i wyrażenia, jak np. „A i Bamblowa szelma... To ci powiadam, siostrzyczko, głodziła mnie baba, zamykała, pókim jej rubla dziennie nie oddała. A skąd mnie rubla zaraz brać? Albo mi to rublami kto sypał?... A tu, żeby ci nie wiem jak, to ani się gdzie posięgnąć bez meldunku. A o tym zegarku, Hanusiu, nieprawda!... Żebym tak zaraz trupem padła, jak nie łżę... Papierek mu ino wyciągnęłam z kieszeni, żeby babie gębę zatkać... A Walera zaraz ci się wysforowała... Jak-em ci ją zobaczyła, fiu!... Gęba taka... kołnierz u kaftana aksamitny, spódnica z falbaną... Ino szur, szur... ani do niej przystępu... Choroba!...“

I taka jest ciągła mieszanina romantyki poetycznej i realizmu, podmiotowych, lirycznych wylewów, i obserwacyi przedmiotowej, że możemy wprawdzie podziwiać giętkość pióra, umiejętność przejmowania się różnorodnemi nastrojami, lecz nie dostrzegamy jeszcze wyraźnie tego, co stanowi indywidualną właściwość autorki, co jej stylowi nada cechę odrębną.

Z pomysłami jest podobnież. Tylko w szczegółach można było dojrzeć jakąś nowość, coś świeżego; w całości zaś słyszało się nuty ograne. Ładnym niewątpliwie, do pewnego stopnia sharmonizowanym jest obrazek p. t. „Wojciech Zapała,“ przedstawiający wiarusa, który przejęty miłością i uwielbieniem dla „nowożytnego boga wojny,“ Napoleona, dokonał snycerskiego dzieła bez żadnego uprzedniego przygotowania, wyciosał z dębczaka postać ukochanego wodza, ażeby go pokazać oczom

http://rcin.org.pl

wnuka. Świeżą tu jest właśnie myśl, iż gorące, namiętne ukochanie czegoś może tworzyć cuda, może uzdolnić człowieka do wykonania rzeczy, o której przedtem nigdy nawet nie pomyślał; ale sama postać wiarusa i sposób, w jaki wspomnienia swe z wojen napoleońskich wnukowi opowiada, miały już cały szereg poprzedników. W „Ultimusie“ poetyczną jest postać na pół oślepłego, niezdolnego do lotu żórawia, ale dzieje zemsty odepchniętego przez szlachciankę konkurenta mieszczanina, co syna jej wciągnął do szajki koniokradów i przemytników, ażeby go zhańbić, nie przedstawiają nic takiego, coby już wielokrotnie nie było u nas obrabianem. „Michał Duniak“ to z zamiaru autorki tragiczna historya syna mieszczanki o oczach „urocznych“ i żyda — marzyciela: osierocony przez matkę, przytulony przez ojca, budzi istnieniem swojem niechęć we współwyznawcach Uryela i w pogardzonym przez Kasię konkurencie; a niechęć ta prowadzi go na śmierć w nurtach zamarzniętej rzeki. W wykonaniu, nie tragedya to, lecz melodramat, nie budzący zgoła tych uczuć, jakie nowellistka wywołać chciała. Daleko lepiej powiodło się jej później, kiedy dodatnie postaci żydowskie odmalowała w „Jaktonie“ i „Mendlu Gdańskim.“ Atoli i w tych pomysłach nie miała zasługi pierwszości — wyprzedziła ją znacznie Orzeszkowa.

Stosunkowo najwięcej nowych pierwiastków w pomyśle zawiera najobszerniejsza nowella Konopnickiej, niemal powieść, realistycznie wykonana: „Pod prawem.“ Nie brak nam było obrazków z życia więźniów, nie brak było również uwydatnienia niepożądanych wcale skutków, jakie wywierało na młodych zwłaszcza przestępców życie w zamknięciu lub w towarzystwie doświadczonych już złoczyńców. Od czasów „Pana Antoniego,“ napisanego przez Fryderyka hr. Skarbka (1824) ciągnie się spory szereg wizerunków tego rodzaju; ale tak szczegółowo, z takiem wciąż tłumionem uczuciem, jak Konopnicka, nikt ich przed nią nie kreślił.

Biedna dziewczyna, oszukana przez kochanka, dostaje się do więzienia za kradzież przezeń popełnioną, gdyż nie chciała go wydać; trzy lata przesiedziała w więzieniu, a wypuszczona z czerwonym paszportem, ciężko pracuje na wyżywienie, poniewierana przez wszystkich, ale nie złamana nieszczęściami i pogardą. Zalecanki sekretarza, odepchnięte przez Hankę, zmuszają nieszczęśliwą do ucieczki z miejsca wyznaczonego jej na „pobyt,“ do tułania się po Warszawie, opłacania się podrzędnym figurom urzędowym; po raz drugi wchodzi do więzienia, po raz drugi ucieka, a jako niepoprawna złodziejka skazaną zostaje na Sybir.

Dziewczyna niewinna, za swą łatwowierność i szlachetność hanie-

http://rcin.org.pl

bnie karana, za wytrwanie w cnocie prześladowana, za chęć pracowania ścigana jak dziki zwierz w lesie, ginie marnie, gdy jej uwodziciel, a zarazem istotny przestępca, zabezpieczony od wszelkich poszlak, pędzi życie lekkomyślne, a według wyobrażeń swoich zupełnie szczęśliwe.

Opowiadanie pozostawia po sobie głębokie wrażenie, jest silnym protestem przeciwko fatalnemu prawu, które, jakby naigrawając się ze słabości ludzkich, żelaznemi przepisami tak obsacza ludzi bezbronnych, że ich do występku popychać się zdaje; nakazuje poprawę, a nie dostarcza środków i sposobności do niej. Autorka nigdzie się nie unosi, nigdzie nie wybucha, nigdzie nawet uczucia swego nie zaznacza; w przedmiotowej formie opowiada dzieje prawdziwie tragiczne, czasami tylko rzuconem słówkiem ironii lub spółczucia dając wskazówkę czytelnikowi, jak ma rozumieć sytuacyę. Usposobienie, zachowanie się, słowa Hanki, pełne są wszędzie prawdy; wywiera bolesne, ale dobroczynne wrażenie.

Podobne cechy, tylko ze wzmożonym wyrazem litości i miłosierdzia, mają późniejsze, co do objętości drobne, ale co do artyzmu świetne obrazki więzienne. Poetka z siostrzaną wyrozumiałością zwiedzała Pawiak i dom przy ulicy Złotej, wpatrywała się w rodzaj życia, w sposób zachowania się, w obyczaje i narowy uwięzionych, sercem odgadywała ich tajone uczucia i myśli, a opowiadając nam o nich, nie pomijała stron złych lub śmiesznych, lecz wszędzie wykrywała „czystą treść człowieka," wszędzie pobudzała do posępnej zadumy, a nieraz łzę z oka wywabić nam umiała. Takiemi są: „Podług księgi," „Jeszcze jeden," „Onufer," „Za kratą." Obrazki więzienne Konopnickiej to pierwszy jej tytuł oryginalności w dziedzinie nowellistyki. Wysoce humanitarny nastrój, dobra obserwacya, niekiedy humor, często niepospolity artyzm w wydobywaniu na wierzch tego, co skryte w duszy; przeniknięta skrywanem uczuciem przedmiotowość stanowią cechy ich znamienne.

II.

Drugim tytułem oryginalności i drugim stopniem wyczuwania duszy ludzkiej są nowelle z życia biedaków. Rozpocznijmy od słabszych.

A najprzód „Dym." Są to króciutkie dzieje młodego, krzepkiego i wesołego robotnika, który utracił życie w skutek pęknięcia kotła w fabryce, pogrążając w otchłań bólu matkę, żyjącą tylko dla niego. Tym razem nie chciała poetka komplikować ani wypadków, ani uczuć pierwiastkiem społecznym; pragnęła odmalować jedynie uczucia czysto ludz-

http://rcin.org.pl

kie w ich naturalnym, zwykłym przebiegu. Wprawdzie Marcyś wraca nieraz z fabryki bardzo zmęczony, przepracowany, ale nie narzeka, nie użala się; owszem bywa nieraz wesół i pogwizduje sobie równocześnie z ukochanym Kosem. Wprawdzie wynagrodzenie robotnika jest bardzo a bardzo szczupłe i nie pozwala nawet na zjadanie chleba w obfitości; ale zarówno Marcyś jak i jego matka nie czują doskwierającej biedy, nie uważają się za pokrzywdzonych. Ażeby kotłowy miał siły do ciężkiej roboty, matka pod różnemi pozorami podsuwa mu własną porcyę chleba lub zupy, a chłopak, dobrym obdarzony apetytem, nie spostrzega, jak staruszka chowa resztki po nim pozostałe, by później w skrytości pożywić się niemi. Ani słowa wyrzekania, gniewu, zniecierpliwienia. Może nawet za dużo jest „słodyczy“ sielankowej w tym obrazku, wyobrażającym ustęp z życia robotników fabrycznych; zazwyczaj malują go nam zupełnie inaczej; ale przyznać potrzeba, że ta sielanka miejska jest ładna i zapewne naumyślnie przesłodzona dla wywołania tem żywszego uczucia przeciwieństwa, gdy nastąpi katastrofa. Po niej matka robotnika „długie lata siadywała w tem samem okienku, patrząc osowiałym, mętnym wzrokiem na fabryczny komin, z którego biły w górę sine słupy dymu. Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zamieniał się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stołka i wyciągała drżące, wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach...“

Piękniejszą, szerzej obrobioną, wielostronniejszą jest nowella, z życia jeszcze biedniejszej warstwy ludności miejskiej wzięta, p. t. „Nasza szkapa.“ Piaskarz, mający troje dzieci, dotknięty został nieszczęściem, najstraszliwszem dla ubogich: przewlekłą chorobą żony. Trzeba się było wyprzedawać, najprzód z tego, co uważano za zbyteczne (jak: łóżko dla dzieci, poduszka, stołki i t. p.), potem z tego, co wprawdzie nie miało wielkiej wagi samo przez się, ale z powodu czy to miłości własnej, czy wspomnień nabrało doniosłego znaczenia (jak: moździerz, żelazko, harmonia); wreszcie konieczność dostarczenia posiłku dla chorej zmusza do zbycia ukochanej szkapy, co piasek rozwoziła i podstawą utrzymania rodziny się stała.

Powolne to ogołacanie ścian i wypróżnianie stancyi, kufra, w końcu stajenki, z nadzwyczajną prostotą i naturalnością odmalowane, wywołuje przejmujące wrażenie; zwłaszcza, że autorka nie popada w nastrój jednostajny, lecz obok tkliwości ze strony męża a ojca, wytrwałego znoszenia cierpień ze strony matki, maluje nam niefrasobliwą wesołość wieku dzie-

http://rcin.org.pl

cinnego, hartującego się w biedzie i tłumiącego w sobie chwilowe porywy płaczliwości, by się wnet oddać zabawie.

Łatwo tu było popaść w przesadę i wywołać uczucie komizmu, mianowicie w tej chwili, gdy mąż, za nim sprzedał harmonię, wygrywa na niej różne pamiątkowe z poprzedniego wątku życia melodye; ale miara artystyczna i prawda uczucia uchroniły od niebezpiecznego szkopułu i ustęp ten stał się jednym z najszczęśliwiej przeprowadzonych w całem opowiadaniu.

Pochód na cmentarz nie ma już tego doskonałego nastroju składowych części; w jego opisie razi nieco zachowanie się dzieci, które przecież nie były pozbawione uczucia, wyrażały je tylko po swojemu. Pomijając atoli ten drobny szczegół, musimy w „Naszej szkapie“ uznać jedno z małych arcydzieł nowellistyki naszej.

Głębsze jeszcze motywy odnajdziemy w obrazkach z życia ludu wiejskiego. Jak w wierszach, najpiękniejsze, najlepsze pod względem artystycznym od samego zarania twórczości były niewątpliwie pieśni na fujarce, tak i w prozie najoryginalniejsze opowiadania Konopnickiej odnoszą się do ludzi i życia na wsi.

Dość ubogo pod względem duchowym przedstawia nam się życie ludowe, jak je odtwarzali nasi powieściopisarze i nowelliści. Zdawało się, że cztery jeno sprężyny wywołują ruch w duszy wieśniaka: głód, miłość zmysłowa, miłość macierzyńska i żądza posiadania ziemi jaknajwięcej. A jeżeli ktoś jeszcze upatrzył w tej duszy popęd artystyczny: do muzyki, snycerstwa, aktorstwa, to już uważaliśmy za wielkie wzbogacenie motywów psychicznych.

Konopnicka okazała, że motywy te są i różnorodniejsze i głębsze. Odkryła ona w „Maryannie z Brazylii“ wielką rzutkość, wielką przytomność umysłu, wielką przedsiębiorczość, a chociaż całą rzecz oparła na anegdocie (czasem aż zanadto rubasznej), to przecież postać tę odmalowała z takiem życiem, z takim żartobliwym uśmiechem, że wartość anegdoty podniosła do znaczenia wizerunku artystycznego. Anegdotyczna również jest katastrofa „Józefowej“, lecz w jej postępowaniu widzimy rys subtelny, a świeży w naszej belletrystyce, jak ta zdrowa, hoża kobieta usiłuje zakryć niedołęstwo swego męża, jak się ukrywa ze swem pragnieniem posiadania dzieci, jak nawet na łożu śmierci, na które je powaliło niespodziane, raptowne popchnięcie przez męża-niedojdę, twarz jej promieniała a usta szeptały wobec kucharki: „Zawszeć to, co chłop, to chłop!“

Ale to są rysy i motywy proste; Konopnicka odnalazła i złożone.

http://rcin.org.pl

W „Głupim Franku“ przedstawiła oryginalną postać wieśniaka, co zgoła o powierzchowność swoją nie dbając, nie żył jak inni, lecz się błąkał po lasach i polach, spał byle gdzie, rozmawiał ze sobą i z przyrodą, którą ukochał całą duszą. Mieszkańcy wioski poczytywali go za cichego, nieszkodliwego obłąkańca, dawali mu czasami trochę jadła, a przytem śmiali się i kpili do woli. Aż razu pewnego, gdy jeden z wieśniaków zaczął się wyprzedawać Niemcom, by za morzem szukać lepszej doli, albo raczej łatwiejszego zarobku, „głupi Franek“ zjawił się przed nim nagle i zaczął go na wszystko zaklinać, by się nie wyzbywał dobytku i ziemi; a gdy to nie pomagało, wpadł w ton boleśnie drwiący, potem skruszony i religijnego nastroju pełny, tak że chłopi pozdejmowali czapki, a baby poklękały...

Czy w tem wystąpieniu „głupiego Franka“ z apostolstwem przywiązania do ziemi rodzinnej jest odbicie jakiegoś wypadku rzeczywistego, nie wiem; ale psychologicznie da się ono uzasadnić, gdy zważymy dwa rysy jego usposobienia, zaznaczone przez autorkę na początku, t. j. nienawiść do Niemców i rozkochanie się w naturze otaczającej: „ręką chudą, czarną“ głaskał, „aksamitne pałki trzciny i zielone wstążki tataraków,“ patrzył „w słońce albo w wodę całemi godzinami, sam do siebie gadając i łzy prószące z oczu,“ potem nagle rzucał się na ziemię i do niej się tulił „właśnie jak owo dziecko do matczynej piersi.“ Kto tak żywiołową siłą ukochał swoją wioskę rodzinną, kto się zżył z nią, jakby jedna z istot nieruchomo w niej tkwiących, ten bez żadnych zzewnątrz dopływających haseł, którychby może nawet w zupełności nie zrozumiał, mógł i prosić i błagać i modlić się, by ten skrawek nie stał się własnością obcych przybyszów, z którymi nic go nie wiązało, z którymi rozmówić by się nie potrafił, których za niedowiarków poczytywał.

„Chodzik“ to sylwetka również bardzo oryginalnej, bardzo wyjątkowej jeszcze u nas postaci. Chłop, czytający wszystko, co mu pod rękę popadło, nabrał takiej ochoty do zdobycia „oświaty,“ że wziąwszy węzełek na plecy, powędrował do Szwajcaryi, wciąż dążąc na Zachód, gdyż utkwiło mu w pamięci i w duszy to tajemnicze niemal wyobrażenie, iż tylko na Zachodzie można prawdziwej nabyć oświaty. Wszystkich znakomitszych pisarzy nazywał on „kaznodziejami“ i wypowiadał o nich krótkie, ale niekiedy trafne zdanie, świadczące, że myśl jego przy czytaniu pracowała na prawdę; oczywiście z temi trafnemi sądami łączył bardzo często i wielce powierzchowne także. Zaproszony przez Zygmunta Miłkowskiego na obiad, nie chciał uwierzyć, żeby to był T. T. Jeż, autor tylu wybornych dzieł, przezeń czytanych i podziwianych. „Co pan

http://rcin.org.pl

mówią — odparł temu, kto go przekonać usiłował — ten maluśki, stareńki, w tym szarym kubraku? Taki kaznodzieja w takim kubraku!... A ino! Nie tędy do pola!... Już mnie panisko nie zmani, ani z tej strony, ani z tej strony. Bo też choć i ksiądz na wsi, a ornaty po sobie rozpuszcza i w kolorach se różnych chodzi, — a taki-by w kubraku zaś miał?... A ino!..."

I w zwyklejszych atoli stosunkach umiała Konopnicka artystycznie zaznaczyć bogactwo duszy chłopskiej.

Oto „Stacho Szafarczyk." Chłopak czternastoletni postradawszy ojca, pragnie odsunąć obcego człowieka, domniemanego ojczyma, od chaty odziedziczonej, pragnie sam wystarczyć całemu gospodarstwu, zmagając się nad siły. Dwie głównie pobudki czynne są w jego duszy: najprzód obawa, by go powoli, stopniowo obcy ludzie nie wykwitowali z tej posiadłości, jaką mu ojciec pozostawił, a powtóre zazdrosna miłość do matki i niechęć, by ona powtórnie wyszła za mąż. Pierwsza z tych pobudek wyraźnie i jasno staje przed umysłem Stacha; druga lubo instynktowo tylko, nieświadomie serce mu nurtuje, nie mniej przecież stanowczo a nawet gwałtownie wpływa na jego postępowanie.

I nie było to jeno marne przedsięwzięcie w myśli lub słowach; Stacho odrazu, tuż po pogrzebie ojca wziął się do roboty, ażeby nie dopuścić, by matka zgodziła parobka, kulawego Chrząsta, który mógłby z czasem jej rękę pozyskać. Zabrał się tedy do rznięcia sieczki. „W sieczkarni stał w kaftanie tylko i bez czapki, a zaniósłszy się obu ramionami do wysoko umieszczonej korby, kręcił nią nierównym, raz silnym, raz słabym ruchem, wspinając się gdy korba w górę szła, zawisając na niej całym ciężarem drobnego ciała, gdy szła ku dołowi. U wylotu leżała spora kupa niezbyt równo narzniętej sieczki; chłopakowi pot kipiał z czoła." A jak z sieczką dawał sobie rady, lubo z wysiłkiem, tak samo brał się do młócenia, a potem rozwożenia nawozu, wreszcie do żniwa...

Nader znamiennym jest rys, silnie uwydatniony przez autorkę, mimowolnego przybierania przez dziecko sposobów mówienia i zachowania się ojca zmarłej. „Tak samo się więc przygarbiał, tak samo ręce w rękawy zasuwał, tak samo głowę między ramiona tulił, tak samo włosy na czoło zapuszczał i pochmurowato patrzył. Nieraz też matka aż stanęła z dziwu, kiedy ją chłopak tak samo jak nieboszczyk upominał, żeby ognia do komory między pakuły nie nosić."

Nie mniej trafnym i głębokim jest rys powolnego obojętnienia matki względem syna. Kochała go niewątpliwie, ale sama będąc młoda jeszcze, pożądała rozkoszy; a tu syn, wysilając się, nie daje jej pozoru ku wpro-

http://rcin.org.pl

wadzeniu gospodarza do chaty. Więc choć z początku litość ją zdejmowała na widok dziecka zziajanego, zgnębionego robotą, nie przestała wszelako narzekać na kłopoty gospodarskie, nie przestała przypominać, że są jeszcze bardzo różne prace, jakich dokonać potrzeba. Sądziła zapewne, że chłopak albo się przerazi ogromem i trudnością roboty, albo też znuży się ciągłemi lamentami i sam poprosi matkę, by parobka przyjęła. Ale Stacho podwajał i potrajał wysiłki, byleby wszystko szło w gospodarstwie jak należy; matka zaś tępiała stopniowo na wrażenia, wywoływane nadmierną pracą dziecka i z okrucieństwem bezwiednego napół egoizmu wytykała wady w spełnianych przez nie pracach. Co więcej, nie spostrzegała nawet zmizerowania się chłopca i widocznej już dla wszystkich postronnych choroby; myślała jeno ciągle, kogoby tu wziąć na drugiego męża.

Przyszła nareszcie chwila, kiedy źle wyleczony Stacho z ostatecznym wysiłkiem stanął do żniwa. „Tyla ino?“ — rzekła matka, kiedy przyniósłszy obiad synowi po półku spojrzała. „Bój się Boga, chłopak, nie postawaj, aby ino chwycić... aby ino!“ A na te okropne słowa Stacho „już się ze trzy razy odmienił na twarzy i z bladego zrobił się czerwony, a z czerwonego znów blady; już mu ramię ścierpło, a z piersi szedł dech coraz prędszy, coraz bardziej świszczący; już mu i koła różne i blaski przed oczyma latać zaczęły, — a on precz siekł... Pić mu się chciało niezmiernie, parę razy obrócił oczy ku szemrzącej na skraju półka strudze, ale roboty nie przerwał. — Z pół staja jeszcze! szepnął świszczącym ze zmęczenia głosem. Nie będzie jak z pół... Nie skończył, stanął przelękły, drżący. Nogi dygotały pod nim, ręce się trzęsły, przed oczyma czarność jakaś powiększała się, i rosła... rosła...“ Spojrzał błędnie po niedożętym dziale; w uszach mu zadzwoniło, jak na rezurekcyę. Nagle się zachwiał, czerwona jasność uderzyła mu oczy. — Jezu! krzyknął wielkim głosem, kosę z rąk puścił i na ziemię runął...“

Pewien stary gospodarz, Domin, myślał patrząc z dala, że hultaj chłopak śpi w najlepsze, ale gdy się zbliżył, lęk go ogarnął. „Chłopak, choć resztką duszy dychał, wyglądał jakby umarły. Oczy miał zamknięte, głęboko w dołach schowane, usta i powieki sine, twarz żółtą jak gromniczne woski. Wzdłuż rękawa starej niedobielonej koszuli, na który mu głowa padła, sączyła się z ust cienkiem pasmem krew jasna, pienista. Potrząsnął chłopcem stary — nic. Krew tylko zapieniła się mocniej i żywiej biedz poczęła, ale Stacho oczu nie otworzył...“

A nad zdobytem polem, jak sztandar zwycięski w ognistej łunie zachodu sterczała Stachowa kosa, zatknięta przez Domina. Młody żeniec

http://rcin.org.pl

leżał pod tym sztandarem cichy i nieporuszony. Gdy wieść o tem doszła do matki, znalazł się zaraz Chrząst, co zaprzągł konie do wózka, by przywieźć martwego jej syna.

Nieopisane wrażenie rzewności i współczucia połączonego z podziwem wywołuje ta nowella, którą doskonałą nazwaćby wolno, gdyby ją autorka ujęła była zwięźlej.

Nie ma wady rozwlekłości w „Kryście," która ze wszystkich opowiadań Konopnickiej najżywsze obudziła zajęcie i rozprawy. Nowella ta nie tyle budzi współczucia co „Stacho Szafarczyk"; lecz jest w wysokim stopniu dramatyczna i mocno interesuje pod względem złożonych tajników duszy prostej, a jednak subtelnej.

Krótko określając zawartość tego opowiadania, można powiedzieć, że jego przedmiotem są objawy podwójnej miłości w sercu silnie czującej wieśniaczki. Dopiero co zaślubioną Krystę pozostawia we wsi młody małżonek, by odbyć powinność wojskową. Żona wierną jego pamięci się nie okazała; ulegając przemocy popędu zmysłowego, oddała się człowiekowi, który nie budził w niej żadnego żywszego uczucia, a wreszcie stał się jej wstrętnym, gdy przyszło na świat dziecko, równie jej niemiłe. Nie umiała sobie zdać sprawy z tego, jakim sposobem dopuściła się takiego zapomnienia, boć ona przecie całą duszą kochała Antka.

Autorka nie opisuje szczegółów stosunku ze wstrętnym ojcem niemiłego dziecka (Pawłem), uważając go jeno za konieczny wstęp do odmalowania stanu duszy Krysty na wieść, że Antek wraca. Zaszeptawszy martwym, bezdźwięcznym głosem: „Jezu!... Jezu miłosierny!" — porwała się z izby i pobiegła w kierunku, skąd spodziewała się nadejścia. Przypominała sobie chwilę rozstania, przypominała przysięgę złożoną Antkowi. Zmieszane uczucia „dusiły ją, mordowały, dreszczem i ogniem po niej szły." Zaczęła się modlić: „złożone ręce przyciskała do piersi; głos jej był żarliwy, gorący, spojrzenie udręczone, błagalne, strzeliste." Na wspomnienie Pawła „nagle ciemna czerwoność oblała jej twarz, czoło, szyję;" Krysta wstydziła się sama przed sobą: „w tej szerokiej pustce polnej uczuła wstyd palący dziewicy i spuściła oczy." Już mglisto przedstawiał się jej zamiar odebrania sobie życia, ale za nic w świecie nie chciałaby, ażeby Antek dowiedział się o jej przewinieniu.

Z sofisteryą właściwą kobiecie, pragnąc, by ją za dobrą, wierną miał ten, co ją ukochał, powiada sobie, że popełni kłamstwo dla jego spokoju, dla jego szczęścia: „Niechże on choć jedną godzinę dobrą ma! Niechże on choć raz, choć raziczek dobrem sercem przytuli ją do siebie! Niechże on choć przez tyla, co ten jeden pacierz, rad i szczęśliw będzie,

http://rcin.org.pl

że się do dom wrócił!...“ Atoli obok tej pobudki altruistycznej, wypowiedzianej głośno, jest i samolubna, której domyślić musimy: ona-by nie mogła wytrzymać spojrzenia Antka, gdyby się dowiedział o jej przeniewierstwie. Więc skłamie, przysięgnie, że mu wierną była; ale spokoju nie zazna i trząść się będzie w chwili upojenia i dopiero na dnie rzeki znajdzie ukojenie, wówczas gdy Antkowi oczy się otworzą...

Krysta to obraz kobiety, ulegającej popędom chwilowym, nie umiejącej oczywiście analizować swej duszy, ale mającej pomimo instynktowej sofistyki i kłamstwa, głębokie poczucie prawości, karzącej samą siebie za popełnione przestępstwo. O ileż wyższą jest ta chłopka od zalotnic salonowych! —

Zanim przejdę do ostatniej, najwyższej, zdaniem mojem, grupy nowel i obrazków Konopnickiej, niepodobna mi nie wspomnieć o piorunującej satyrze na urzędową litość, o „Miłosierdziu gminy,“ które przerobione na dramacik, złożyło się na jubileuszowy hołd dla autorki w teatrze krakowskim.

Bez słów potępienia, samem przedstawieniem sceny, w której rządowe objawy miłosierdzia w jednej z gmin szwajcarskich zostały odmalowane, potrafiła autorka tak głębokie, tak wstrząsające wywołać wzruszenia, iż czytelnik drży z oburzenia na widok tych ludzi, co to zebrali się, by spełnić niby dobry uczynek, wziąć do siebie starca niezdolnego do ciężkiej roboty, a poddają go torturze moralnej, tak wyszukanej choć niby prostej, że się należycie wyrazić, uwydatnić nie daje. A w dodatku cały ten aktorski popis starca ledwie włóczącego nogami, a zmuszonego uśmiechać się i udawać zucha, by gmina nie potrzebowała zbyt dużo zań dopłacać, — odbywa się spokojnie, z rozmysłem, jako rzecz zwykła, ba, spowszechniała. Syn owego starca staje także do licytacyi, ale się nie utrzymuje, gdyż żąda zbyt wielkiej dopłaty od gminy! Nawet najdotkliwsza zgryźliwość Swifta nie wymyśliłaby nic potworniejszego nad ten fakt, dostrzeżony przez autorkę w wolnej cywilizowanej Szwajcaryi...

III.

Biedny starzec szwajcarski budzi politowanie, ale nie współczucie. Jest w nim ten przysłowiowy egoizm życia, wzmagający się wraz z wiekiem, wraz z niemożnością używania go w pełni. Gra bolesną komedyę, byle tylko mógł jako tako przepędzić jeszcze parę tygodni, parę miesięcy, parę lat na świecie, choć ten może tylko już jaknajszczuplejszej miarki „szczęścia“ udzielać.

http://rcin.org.pl

Całkiem inne objawy dostrzegła Konopnicka we własnem społeczeństwie i nie omieszkała ich zobrazować. Jej staruszki są najsympatyczniejszemi ze wszystkich postaci przez nie nakreślonych. Przewija się ich bardzo wiele wśród opowiadań naszej autorki, ale dwie z nich postawić trzeba na szczytach artyzmu i na szczytach pogłębienia psychologicznego. Obie pochodzą z warstw szarego, biednego gminu; obie duchem swoim unoszą się wysoko nad poziomem usposobień, wyobrażeń i pragnień tłumu, choćby „najinteligentniejszego.“ Gorące namiętności, jeżeli były w nich kiedykolwiek, wypaliły się do szczętu; myśl o bliskiej śmierci nie przeraża ich wcale, owszem pociąga ku sobie, bo ma położyć kres nie tyle własnym ich cierpieniom, ile niedogodnościom, jakie ich istnienie sprawia osobom otaczającym; oczywiście o zadaniu sobie śmierci nie myślą, bo to grzech, ale uśmiecha im się nadzieja, że za pomocą surowego postu mogą przybliżyć chwilę wyzwolenia. Troski ziemskie oczywiście dotykają je, ale nie wybijają z równowagi wewnętrznej. Człowiek dopóty jest niepewny, dopóty się waha na różne strony, dopóty doznaje lęku, póki mocno mu idzie o podtrzymanie swego bytu ziemskiego; lecz kiedy staje się już niemal czystym duchem, nie targanym i nie wichrzonym przeróżnemi namiętnościami — nabiera spokoju, pozbywa się goryczy, zaczyna być bosko wyrozumiałym względem innych, choćby ci inni nie celowali dobrocią, ani miłosierdziem. Żyje się w oczekiwaniu chwili ostatniej, doznaje się jakby pragnienia bytu zagrobowego; myślą i uczuciem przenosi się w stan, mglisto przed wyobraźnią zarysowany, ale uroczy, w niczem niepodobny do tego w jakim żyło się tu na ziemi.

Taką staruszką jest najprzód „Banasiowa.“ Poznajemy ją wraz z autorką w dzień letni, upalny w cienistym parku. Slicznie ta chwila i ten krajobraz nam się przedstawia. W złoto-zielonej sieci, splątanej z cienkich nitek siejącego się wskroś cienistej lipy słońca, wisiał przedemną, nieruchomo prawie i bez brzęku, omdlały rój drobniuchnych muszek, nad niedalekim trawnikiem polatywały białe motyle krótkim, nizkim lotem, zapadając głęboko między trawy; żwir błyszczał oślepiająco na krzyżujących się wprost ławki ścieżkach, a silne zmieszane wonie biły w powietrze jakby z kadzielnicy. Wszystko to przyszło nagle po bardzo świeżym i pełnym ros rzęsnych poranku, gdy słońce, białe prawie, wytoczyło się wysoko jak kula, uderzając całym żarem w dyszącą i spotniałą ziemię. Park był pusty. Ci, co tu bywają rankiem, już odeszli; ci, co szukają cienia i chłodu, nie przyszli jeszcze. Natężone gorąco zdawało się wzmagać wśród zupełnej ciszy, a oddalone cykania koników

http://rcin.org.pl

polnych podobne były do lekkiego trzasku niewidzialnych, podsycających żar południa iskier.

Wtem nadeszła mała, mocno do ziemi przygięta staruszka z koszykiem w ręku. Na twarzy ogromna sieć zmarszczek. „Życie, co przędło nitki tej sieci, musiało być długie, bardzo długie; musiało też nie spoczywać nigdy. Musiało ono rankiem przy ogarku do pracy się brać, a kończyć ją pół ślepo o pianiu północnych kurów. Musiało na szare wrzeciono swoje wytargać z tej piersi wszystkie włókienka; musiało nić swoją rwać, plątać, i znów rwać, i znów plątać, nie wygładzając węzłów, tylko śpiesząc, śpiesząc, śpiesząc...“ Banasiowa myślała też istotnie, że ją już woła do siebie „ta święta ziemia“; więc z dalekich stron przybyła do córki zamężnej za „goździarzem we fabryce“, bo „zawszeć-to u swoich lżejsze umieranie; nie daj Boże ciężkiego konania, to choć słomy na izbie rozścielą i tej duszyczce z grzesznego ciała wyjść dopomogą.“ Ale się jej wyszykowało, jak sobie umyśliła. „Pecherzynka się ot taka widzi, co to dmuchnąć i tyla, a tu takie życie twarde we mnie — skarżyła się — co niech ręka boska broni.“ Córka złościła się, zwłaszcza że trzeba było stróżowi „podtykać,“ ażeby z opłatą „karty-pobyt“ zwlec do tej spodziewanej, a nie nadchodzącej śmierci. „Łyżki strawy żałować, to mi nie żałowali — opowiadała Banasiowa. Pan Bóg-by mnie skarał, gdybym mówiła inaczej. Co prawda, to ta człowiek niewiele ich tem jadłem ukrzywdził: pochlipał ta parę łyżek, co w misce ostało i już. A co? Takiej ta grochowinie, to i nie pieknie młodych objadać.“ Już jej i wstyd było przed ludźmi. Bo jakże. Wszyscy w suterynach wiedzieli, że „do dzieci umierać ściągła“, a ona wciąż żyje; kto pojrzy na nią, to się dziwuje. Więc zaczęła suszyć do Przemienienia Pańskiego. Zięć nie chciał na to pozwolić, mówiąc: „Co to matce potem Pana Boga kusić! Co ma przyjść, to i tak przyjdzie. Tera na zezimek, najwięcej starych umiera, to ta i bez suszenia na matkę trafi.“ Ale stara nie dała sobie „przeperswadować“ i suszyła... Na trzeci tydzień już tak zesłabła, że już stancyi zamieść nie mogła. Lżej się na sercu jej zrobiło; oto śmierć nadchodzi. Umyła się pieknie-ładnie, oblekła czystą koszulę, siadła na progu, paciorek mówiła i czekała. Dzwony uderzyły nad miastem, zmówiła wieczny odpoczynek, oczy jej same się przymknęły i taka słodkość ją ogarnęła, jak kiedy się człowiekowi na lekki sen zbierze. Zbudził ją stróż, bo przyszło wezwanie do cyrkułu o „kartę pobyt.“ Słaniając się ledwie dotarła; a tu od stolika do stolika ją odsyłają. Wreszcie oznajmiają jej — że ma zapłacić pięć papierków. „Jezu Chryste! — zawołała Banasiowa. — A toż rychtyczek tyla, com na swój pochów Piotrowi

http://rcin.org.pl

dała, kiedym do nich ściągła... Tak zara na mnie mdłość uderzyła i o ścianę się, jak nie żywa oparłam. Niby stoję, niby skroś ziemi lecę, niby patrzę, niby nie patrzę, a w głowie taki szum, jakby po niej wicher chodził... Wielmożny panie, powiadam, wielmożny komisarzu! niech ino wielmożny pan spojrzy po mnie! Toć to wiór suchy, kostki struchlałe, próchno... Ledwo się ten ostatni duch ma po czem kołatać. A toć ja nie zastępuję nikomu nijakiego placu na świecie... Na garsteczce słomy pod piecem legam, wody kapkę wypiję, jak ten wróbel skubnę tej strawy, powietrza też nie ukrzywdzę, bo ledwie dech złapać mogę, ani słonyszka tego, bo w suterynach siedzę, to tam go i nie ujrzeć nawet... Ja wiem, że już mi dawno czas na umieranie! A co zrobić kiedy takie twarde życie mam w sobie! Niech mi już ta wielmożny pan odpuści! A toć ja sama tej śmierci wyglądam a wyglądam, co dnia, co godziny... Jużem ci ja ten pobyt zapłaciła Panu Jezusowi, na chwałę Jego przenajświętszą. Trzynaścioro dzieci miałam, pochowałam siedmioro, jako tych kwiatuszków bieluśkich, dwóch mi synów w rekruta wzięli, jeden mi chłopak w rzece utonął, jedna córka do miasta uciekła, jeden najmłodszy spalił mi się na strychu śpiący, jako ten wróbel pod strzechą. Toż ta Pan Bóg przenajświętszy już ze mnie wybrał ten pobyt i rodzeniem i żałością i pracą ciężką i głodem i krwawym płaczem i onemi mogiłkami ze żółtego piasku...“

Tak Panu Bogu wypłaciła się ze swego pobytu; ale miastu trzeba było dać pięć papierków, przeznaczonych „na pochów“, i wziąć się do jakiejś roboty. Banasiowa przedała poduszczynę za papierek i „złoty przez pięciu groszy“; dwa złote poszło zaraz na nową „kartę pobyt,“ a z reszty kupiła pierników i roznosi je, doganiając grosza, „coby aby w te kary nie popaść.“ A co — dodaje, kończąc swą opowieść: „jak takie twarde życie we mnie je, to może jeszcze i ten rok płacić będzie trzeba“...

Banasiowa to wcielona cicha, pokorna rezygnacya, z zupełnem poddaniem się oczekująca zgonu, każdej chwili nań gotowa. Nie ma żalu do ludzi, córkę złośnicę uniewinnia, o zięciu Pietrze wspomina z uwielbieniem, nad cierpieniami swemi się nie rozwodzi, całą myślą jej jest, żeby nie być nikomu ciężarem, bo już jest wstyd żyć i żyć a nie umierać, jak sobie obiecywała, gdy do dzieci na umieranie przybyła.

Cichszą jeszcze, ale bogatszą duchowo naturą jest ta bezimienna starowina, którą poznajemy „U źródła.“ Niewiele znam w literaturze tak genialnych rysów, jak ten, którym Konopnicka dała nam pierwsze wyobrażenie o zewnętrznym wyglądzie spotkanej na drodze kobiecie, zlewającej się całkowicie z przedmiotami otaczającej przyrody. Kto w akwa-

http://rcin.org.pl

ryach przyglądał się tym żyjątkom, co barwą swoją upodobniają się do piasku, skał lub traw, tak że odróżnić zrazu nie można, co jest żywem a co martwem; ten zrozumie i oceni trafność i głębokość obrazu, nakreślonego przez nowellistkę: „Natknęłam się niemal na nią, nim ją spostrzegłam. Tak podobną przydróżnym kamieniom, na których przysiadła, czyniła ją płachta lniana, u szyi na węzeł związana, a odziewająca ją całą długością swoją; tak niczem nie odbijała od szarego pasma gościńca, ciągnącego się za nią het aż ku Kalwaryi, biegnącego przed nią het aż ku Żywcowi; tak drobnym i nic nie znaczącym punktem była w przestrzeni; tak się szarością swoją zlewała z perłowem tłem wiosennego ranka... Dopiero kiedy za zbliżeniem się mojem podniosła głowę z nad rąk złożonych na niewielkim kijku, uderzyło we mnie z tej szarości żywe spojrzenie bardzo modrych oczu, które nagle rozświeciły twarz, jak u dziecka małą, siecią drobnych zmarszczek ściągniętą, a tak wyblichowaną wiekiem czy chorobą, jak owe płótna, zbyt długo na rosach leżące, gdy je surowość ziemi zje i wiotki szmat z nich uczyni...“

Nie żyła już ona prawie na świecie, tylko w niebo patrzyła „jak pliszka przydrożna, kiedy jeszcze pola czarne, a rój muszek nie wzleciał w powietrze, jak sasanek leśny, kiedy wyniknie z ziemi wskroś śniegu i na kwiat się zbiera.“ Uczucie religijne, proste, szczere, jakąś jej właściwą poetycznością oblane przejmowało ją wyłącznie. A jak się w niej ono zrodziło i rozrosło, trudno odgadnąć. Warunki, wśród których się wychowywała, mogły raczej jej serce twardem i nieużytem i do marzeń jakichkolwiek nieskłonnem uczynić. Ale słusznie ona sama powiada: „Albo ja się chowała? Nijak ja się nie chowała, pani moja, tylo mnie ten Bóg Stworzyciel wywiódł na świat, jak tę płonkę leśną, i tak mnie ta święta ziemia hodowała.“ Ojca nie zapamiętała, a matkę utraciła w szóstym roku życia. „Bez koszuli mnie odumarli — powiada nie skarżąc się bynajmniej — ino mnie w szmatki starej płachetki owiązywali i takech chodziła. Jak ten robak ziemią żyje, tak my biedą żyli. — Gryzła nas ona, gryźli my ją — ano, nie skąsiła. — Dostała się do „ujny.“ „Ujna“ nieraz poszturchnęła, popchnęła, ale jeść to dawała; choć to „pozliwki“ jakie, ale dała. „Drugi raz to i kotu ujęła, żeli nie dostawało, a równie pamięć miała, że to sierocie głód.“ Tylko chłopaki jej dokuczały: „nie przeszedł jeden, żeby włosów nie targnął, nie szczypnął, pod ziobro kułakiem nie zajechał,“ tak że jej ciało „ino się od siniaków bestrzyło.“ To nic, najgorzej chłopaki nie lubiły, kiedy „ich uglądała, jak się na książce uczyły.“ Uwzięła się jednak poznać litery. Dostała elementarz groszowy i dopóty nad nim się męczyła, póki nie przezwy-

http://rcin.org.pl

ciężyła trudności. A musiała się ukrywać by jej „groszówki“ nie odebrano; musiała nieraz przy świetle księżyca dobadywać się tajemnic abecadłowych, i wtedy wszystko szło jej najlepiej. Wiec pomyślała sobie, że jej dopomaga anioł, „bo gdzieby to sam człowiek spotrafił!“ I dziwnem promieniowaniem duszy dobrej, wdzięczną była „ujnie“ swojej, za to, że *u niej*, choć bez jej współudziału czytać się nauczyła. To też tak jej służyła jak rodzonej matce. Naukę, czytanie uważała za skarb najdroższy. „Bo to chleb dobre posilenie jest, a nauka jeszcze lepsze. Miałby człowiek naukę dobrą, nie byłoby po światu tych morów, tych głodów, tych powodzi, tych smutków i ciężkości dusznych. Samoby się niebo bliż ziemie nakłoniło, i człowiek świętym-by się ostał.“

Szczęśliwe złudzenie duszy prostej, która czytała jeno książki „o tym Ojcu Stworzycielu, o tym Chryście Odkupicielu, o tym Duchu świętym“..., która tęskniła do Pana Jezusa i z Ewangeliczką nieodstępną w ręku „pątowała“ do Kalwaryi, choć nijakiego odpustu nie było. Wiara głęboka, niezachwiana jest dla niej i umocnieniem w słabości i najwyższą rozkoszą wyobraźni. Ma też swoje święta ulubione. Najświętsza Panna „Janielska“ była jej najmilszą, bo tego dnia wszystko co człek zechce, u niej uprosi, ale nie godzi się prosić o nic innego jak o odpuszczenie grzechów i o chleb powszedni. „W Janielską żaden grzesznik nagłą śmiercią ze świata nie schodzi, a co się w polu na ziarno uwiąże, to zdrowy z tego chleb jest, bo sporysz i rdest mocy w ten dzień nad kłosem nie ma; a co się na kwiat uwiąże, to jagoda z tego wynika słodka, na różne złe pomocna, a kwiat biały będzie; a co w lasach skrzypiącego drzewa jest, to w ten dzień ciche stoi; a na morzach okręty do dna nie idą i piorun ich nie urazi; a kogo żmij ugryzł, nie puchnie i jastrząb w ten dzień skowronka nie chwyta i macocha sierot nie bije... To mogłyby się wielkie rzeczy na świecie w Janielską dziać, i ludzieby po wodach wielkich chodzili, jak po suszy, i więźnie z lochów na słońceby wyszli; wszelki jasyr-by padł, i ziemi-by w dwoje tyla przybyło; ino że nie każdy wie, co i jak...“

Z myślą o śmierci spoufaliła się najzupełniej i zgoła nie wierzy, iżby jakieś upiory straszyły ludzi, choćby o tem z ambony powiadali. Ten *umarły* — według niej — nijak się temu żywemu nie przeciwi. On sam kontentny jest, co się już jego chodzenie po światu skończyło; to leży sobie pieknie, cicho i Panu Jezusowi dziękuje na dobranoc. Przecie żyjąca jestem, wiem, co mówię.“ Sama własnem doświadczeniem przekonała się o fałszu ludzkiej gadaniny co do umarłych. Raz podczas epidemii zamroczyło ją w drodze, padła na ziemię, jakby ją sierpem pod-

http://rcin.org.pl

ciął. Głosem nie władnąc modliła się w duchu, patrząc na krzyż nieopodal stojący: „Panie Jezu, przyciągnijże mnie do siebie, cobych nie konała żywota na drodze jak ta kawka polna.“ Wzmocniała też nagle, dowlokła się na rękach do krzyża, głowę na górze piasczystej sparła i nockę znocowała. „Patrzę ja *ranie* — opowiada — a tu koło mnie fartuch się modrzy z onego piasku. Podniosłam się, a tu nóżka dziecińska wystercza mi kole boku, a tam znów włosy się czernią jak to żyto, kiedy kły puszcza... Bo to w takie przestraszone czasy nikt do czysta na glanc nie zakopywał owych morowych... Była glina, to i strzymała; był piasek, to się i rozsypał za wiatrem. *Dopiż-ech uznała*, że to mogiłka, żech te ludzkie kosteczki bez całą noc cisła, *dopiż* zmówiłam za nich wieczny odpoczynek. *Dopiż* wiem tera, co umarty człeka nie przestraszy. Chyba jak człek na sercu plamę jaką ma, to mu ta plama strachem się czyni. A inak to ni!“

Dopełnieniem tych rozumowań staruszki, co patrząc w niebo jak pliszka i jak sasanek, przyjmie śmierć spokojnie i będzie „kontentna,“ że się jej chodzenie po światu skończyło, jest opis pogrzebu góralskiego „W dolinie Skawy.“ Tu już nie jednostki odosobnione, ale cały orszak, biernie przynajmniej, podobne jak Banasiowa i jak Bezimienna, wyraża poglądy na stosunek życia do śmierci. Nie ma tu żalów i płaczów, choć w orszaku żałobnym znajduje się matka zmarłego, nie ma niepokoju i zgiełku; starzy i młodzi śpiewają starą pieśń wyrażającą radość, że trudy i troski ziemskie już skończone, że odtąd w nieodmiennym spokoju płynąć będą dni i lata. Imieniem zmarłego pieśń powiada, że smutne pątowanie, w którem wiele było starań a mało skutku zastąpi „wieczny mir“, „miłe wczasy“.

Nagrzeszyłem ja tu dość z cielesnej krewkości,
Dusza we mnie gorzała od wielkiej żądości;
Teraz idę w wieczny mir, do Pana Jezusa,
Miałem ja tu rodzice, miałem żonę, dziatki;
Teraz idę w ciemny grób jak do ojca, matki...
Winszowana dobra śmierć i letkie skonanie,
Winszowany cichy grób, co mi się dostanie.
Teraz-że się powróćcie, kędy wasza droga,
A ja będę cicho spał, na łonie u Boga.

I zachowanie się orszaku pogrzebowego i pieśń, mówiąca pogodnie o rzeczach posępnych, pogrążyły patrzącą i słuchającą autorkę w głębokie rozmyślanie. „Przykuwała mię — powiada — piękność prastarych form pieśni, przykuwała mię mądrość jej i moc. Duch, który ją

http://rcin.org.pl

wysnuł z siebie, musiał być duchem prawdziwego filozofa, albo raczej prawdziwa filozofia życia sama sobie znalazła tu wyraz i wcielenie. Nicość życia, nicość trudów i zabiegów jego; siewy, które nie wschodzą i nie zakwitają, kwiaty, które nie dają owoców, owoce, które trują tych, co je hodowali, znikomość wszystkich nadziei oraz wszystkich zwątpień, wszystkich radości i wszystkich boleści, cały ten świat, który *nie stoi za grosz, ni za jeden lament*, jakie to szczere, a jakie prawdziwe! Grzech, wina pozostawione na zewnątrz człowieka, grzech, w który wepchnięty jesteś jak żołnierz w wir bojowiska; wina, po której idzie łaknienie *wiecznego miru*, łaknienie wypocznienia od samego siebie, od własnej słabości, — jaka w tem prawda, a jaka głębia smutku!... Przygodne tu wszystko i jednochwilowe, a przecież konieczne i nieuniknione. Koniecznym jest ból, konieczną jest miłość, koniecznemi łzy i uśmiechy. Konieczną także jest tego wszystkiego nicość... *Miałem tu rodzice, miałem żonę, dziatki.* Tu... w krainie przemian, zwiędnień i przekwitów serca. Miałem. Było to może snem szczęścia, może snem cierpień; ale teraz zbudziła mnie ze snu tego śmierć. Teraz już zimną pierś mam i nie czuję ani ran z ukochanej ręki, ani jej pieszczoty. Teraz mi dobrze, spokojnie. Nie drżę z rozkoszy, lecz nie drżę z bólu. Cichy jestem. Jestem, czem byłem — nicością. Do grobu idę, i do ziemi, rodzicielki prochu i człowieka; do ziemi, która była matką matki mojej, i matką ojca mego, i do której pójdą syny moje i dzieci synów moich... Opadły ramiona moje wyciągnięte do uścisków bratnich; rozprostowały się dłonie, które zaciskałem około tego, co było jak ja nicością; stopy moje wypoczywają z dróg pilnych, o których nie wiedziałem, że do grobu wiodą... Bezbronny jestem, nie łaknący ani sądu, ani pomsty, ani sprawiedliwości. Pomiędzy niebem a ziemią rozwiany jestem jako tchnienie wiatru i mniej jeszcze. Bo i wiatru tchnienie zakołysze stepem, gdy nań uderzy ze wschodu lub zachodu; ale dech życia mego nie poruszył ani jednej trawki, a większa jest nicość moja, niż ślad prochu, który po nim zostaje... Troskałem się *około wiela*, aleć jednego tylko było mi potrzeba — grobu. Ten ci jest dom wieczny i podścielisko pokoleń, które przeminęły i które przyjść mają... Acz lepszem byłoby, iżby nie przychodziły, bo to, *co się żywot mieni — męka i wojna jest...* Ale przyjdą i przeminą. O śmierci! ty jesteś życiem świata... Ale i śmierć zaś rozwiązaną będzie, a gdy jej usta nie znajdą w prochu ani jednej iskry do zdmuchnięcia — wtedy nastanie mir i wieczna cisza"...

---

http://rcin.org.pl

Przedstawiając trzy ostatnie obrazki, starałem się jak najczęściej używać słów autorki, bo najprzód obrazki te bardzo mało ogółowi są znane, a powtóre tak są charakterystycznie kreślone, że zastąpienie w nich jednych wyrazów drugiemi, zepsułoby ich wartość artystyczną. Niewątpliwie nie działają one na nerwy jak „Krysta“, nie tchną bujnem kipiącem życiem „Maryanny z Brazylii“, nie mają wielu innych zalet, jakie zaznaczyć usiłowałem w kilku znakomitych nowellach; lecz za to daleko głębiej dają nam zajrzeć w tajniki duszy ludzkiej, wyzwalającej się z pęt życia materyalnego powszedniego, ukazują nam osobowość człowieka prostego, częstokroć naiwnego, lecz mającego w sobie wszystkie dane, by świat ten ocenić „pod kątem wieczności“ t. j. wznieść się na szczebel najwyższy, na jaki wogóle duch o własnych siłach wznieść się może. Takich osób z ludu żaden z naszych nowellistów nie przedstawiał; zobrazowanie ich wnętrza jest wyłączną zasługą Konopnickiej. A nie tylko zasługa ta jaśnieje pod względem psychologicznym, lecz i artystycznym także. Styl ich różni się wielce od stylu innych nowel; najściślej odpowiada treści, jest z nią zrośnięty i, wyjąwszy kilka drobnych usterek, najświetniej, po mistrzowsku, zharmonizowany.

Piotr Chmielowski.

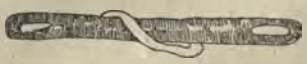

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
8086

http://rcin.org.pl